Nr. 8. We Lwowie dnia 24. lutego 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Tołstoj o posłuszeństwie dla władz.

Znane są zasady najwybitniejszego spółczesnego pisarza i myśliciela rosyjskiego, Lwa Tołstoja. Chcąc odbudować walący się gmach ojczysty na czysto chrześcijańskiej podstawie, Tołstoj występuje jako zawzięty przeciwnik prawa pięści i zaleca wszędzie Chrystusowe poddanie się przemocy, właściwie mówiąc, nie bronienie się. Ale mało kto rozumie jak się należy, do czego dąży jego propaganda, a przeciwnicy jego rozpowszechnili mniemanie. że ów nowy prorok każe, jak wielu ojców kościoła, być zupełnie posłusznym istniejącej władzy, wszędzie i we wszystkiem. Że tak nie jest, dowodzi najlepiej najnowsza przedmowa Lwa Tołstoja do książki, wydanej w Berlinie, pod tytułem: »Życie i śmierć E. N. Drożżyna, z przedmową L. N. Tołstoja. Drożżyn był jednym z najgorliwszych uczni pustelnika z Jasnej Polany i został zamęczony w moskiewskich karnych bataljonach za to, że nie chciał *usque ad finem* splamić się wojskową służbą. Wyciągamy z tej przedmowy najcharakterystyczniejsze ustępy, w których się jasno uwydatnia różnica między n i e o b r o n ą a s ł u ż a l s t w e m.

»Nie mówiąc o zasadniczej sprzeczności między chrześcijańską nauką a posłuszeństwem dla władzy, to posłuszeństwo — nie ze strachu, a z przekonania stało się dzisiaj niemożliwem. Skutkiem ogólnego rozpowszechnienia oświaty, władza przestała być czemś szanowanem, wysokiem, nadewszystko czemś jasnem i określonem, i niepodobna wskrzesić jej dawnego znaczenia Można było być posłusznym władzy, nie ze strachu, a z przekonania, kiedy ludzie patrzyli na władzę, jak niegdyś Rzymianie na cesarza-Boga, albo jak Chińczycy spoglądają dziś jeszcze na Bogdychana, syna nieba; lub jak w średnich wiekach, kiedy wszyscy widzieli w królach i cesarzach pomazańców bożych, kiedy, jak jeszcze niedawno u nas w Rosji, car był dla ludu Panem Bogiem, kiedy nie pojmowano inaczej monarchów, jak świętych, boskich władców, jako wspaniałe postacie, stworzone dla mądrych i wielkich czynów. Ale cóż mamy zrobić dzisiaj, kiedy oprócz najciemniejszych i najzacofańszych osobników, których liczba codzień się zmniejsza, wszyscy wyśmienicie wiedzą, co za ludzie byli Ludwicy XI, Elżbiety angielskie, Janowie Groźni, Katarzyny, Napoleony, Mikołaje, którzy panowali i od których zawisły losy miljonów, chociaż ich panowanie nie było wynikiem jakichś świętych niezmiennych praw, jak niegdyś wierzono, a trzymało się jedynie tem, że ci ludzie zdołali zdradą, przebiegłością, zbrodnią tak się utrwalić na tronie, iż nie można było ich obalić, stracić lub wypędzić, jak wypędzeni zostali Karol I. angielski, Ludwik XVI., Maksymiljan Meksykański, Ludwik Filip i wielu innych...

Mówią jednak: czyż można się odważyć na nieposłuszeństwo wobec władz?

Jakich władz? Za czasów drugiej Katarzyny, kiedy Pugaczow powstał, pół państwa złożyło mu przysięgę i było w jego władzy, więc komuż trzeba było być posłusznym? Katarzynie? czy Pugaczowowi? A przy tej samej Katarzynie, kiedy ona odebrała władzę od swojego męża, od cara, kogoż należało słuchać? słuchać dalej Piotra III. czy Piotrową żonę?

Ani jeden car rosyjski od Piotra I. do Mikołaja I. włącznie nie wstąpił na tron tak, ażeby jasnem było, komu trzeba było być posłusznym. Komuż się trzeba było poddać, Piotrowi, czy jego siotrze Zofji, czy starszemu bratu Iwanowi? Zofja miała do carstwa takie same prawa, a do-

wodem to, że po niej panowały u nas inne kobiety, jeszcze mniej uprawnione — obie Katarzyny, Anna, Elżbieta. Komuż się poddać po Piotrze I., kiedy dworacy posadzili na tron sołdatkę, kochankę po koleji pastora, Mieńszykowa, Szeremetjewa, Piotra, Katarzynę I., a po niej Piotra II., po nim Annę i Elżbietę i nareszcie Katarzynę II., mającą tyle prawa do władzy, co Pugaczów, bo jednego prawego następcę tronu, Iwana, trzymała w więzieniu i tam kazała zamordować, a drugim dziedzicznym carem był jej własny syn, pełnoletni Paweł I.? I jakiej władzy należało być posłusznym, władzy Pawła czy Aleksandra, kiedy spiskowi jeszcze Pawła nie zakłóli, a nową władzę przygotowywali? Jakiej władzy poddać się: władzy Konstantego czy Mikołaja, kiedy Mikołaj odbierał władzę od Konstantego? Całe dzieje ludzkości są dziejami walki jednej władzy z drugą, jak w Rosji, tak i we wszystkich państwach.

Dalej, nawet w czasie pokoju, kiedy niema wojen domowych, spisków i bezkrólewi, czy należało się poddać np. faworytowi carskiemu, Arakczejewowi, nim go zarżnęli, i póki panował samowładnie, czy starać się go obalić i przekonać o jego nikczemności? Panują właściwie nie carowie, a ich urzędnicy; czy mamy być posłuszni urzędnikom złym i dobrym, prawu i bezprawiu!

O niewolnictwie starożytnem.

Szkic socjologiczny.

(Ciąg dalszy).

W mało znanym kulturnym świecie indyjskim i chińskim — kultura wzrosła także dopiero przy pomocy pracy niewolniczej, ale rozwój niewolnictwa miał tutaj swoje odrębne znamiona. W Indjach opierał się on na całym szeregu zaborów, z których potworzyły się znane indyjskie kasty społeczno-etniczne; w Chinach, o których bardzo mało wogóle wiemy — rozwinął się pod wpływem mało zbadanych warunków — archaiczny socjalizm państwowy, któremu odpowiada — również archaiczny socjalizm religijny w budhaistycznym Tybecie.

IV.

W Europie powstało i rozwinęło się starożytne niewolnictwo razem z kulturą grecką i rzymską. W homerycznej Grecji — niewolnictwo znajduje się jeszcze w okresie patryarchalnym, który skończył się dopiero pod wpływem masowych zaborów doryckich. Najdrastyczniejsze formy — po rzeczonym zaborze przybrało niewolnictwo spartańskie, znane z przepisów ustawowych Likurga. Prawodawstwo to nie obala społecznej komuny pierwotnej wśród *zaborów doryckich;* przeciwnie wzmacnia ją, przystosowuje do zmienionych warunków i skierowuje do celów wojennych. Skutkiem tego — Spartanie tworzą przez kilkaset lat państwo, które dla warstwy rządzącej tj. dla właściwych Spartan jest wszystkiem. Komuna spartańska żywi swych członków, ubiera, wychowuje i kształci, przyucza do życia publicznego i wyprowadza na plac boju. Dlaczegóż tedy Sparta przy tak silnej organizacji społecznej sama swe zabory zewnętrzne ograniczała; dlaczego nawet po pokonaniu Aten — hegemonji swej w Grecji obronić nie potrafiła?! Odpowiedź nie trudna, jeśli zwrócimy uwagę na spartańskie niewolnictwo. Pomiędzy ludnością podbitą — znaleźli Spartanie dwie warstwy etniczno-społeczne wytworzone przedtem — pod wpływem jakiegoś dawnego mało nam znanego zaboru w Lakonji. Dawną warstwę zaborczą — zamienili nowi zaborcy doryjscy na pół wolnych chłopów czynszowych, którzy dostarczali rządzącej komunie chleba i pieniędzy; ludność dawniej podbitą t. z. »helotów« zamieniono na wspólnych niewolników komuny i przydzielono ich do osobistych posług poszczególnym familjom spartańskim. Heloci ci nie mieli żadnej osobistej wolności; osoby ich, żony, dzieci, mienie — wogóle wszystko było własnością panów, a najmniejszy opór karano śmiercią. Liczny ten i silny fizycznie żywioł niewolniczy nigdy nie pojednał się na stałe z swym losem i kilkakrotne rokosze masowe zachwiały całą społeczno-prawną organizacją państwa Spartan. Rządząca komuna uprzywilejowanych obywateli — daleką była mimo to od wszelkich reform społecznych; heloci popadali po każdym rokoszu w gorszy jeszcze ucisk, ale też ciągły wzgląd na ich wyzywające stanowisko społeczne nie pozwolił Spartanom ujarzmić Grecji. Analogicznie da się państwo spartańskie porównać do armji stałej, zorganizowanej — jak zwykle — komunistycznie, która żyje i rozwija się kosztem pracy podbitej — pół-wolnej i całkiem niewolniczej ludności. Ustawy Likurga — wyglądają zupełnie, jak kodeks wojskowy i jako takie nie znoszą żadnych podmuchów łagodzących — cywilnych, wiejących z demokratycznych Aten, gdzie także niewolnicze stostosunki inaczej się rozwinęły.

Ludność atycka potrafiła oprzeć się najazdowi doryckiemu, ale ciągła konieczność obrony granic wpłynęła tutaj — jak w wielu podobnych wypadkach na wzrost niewolnictwa. Rycerze — broniący kraju, zwani eupatrydami i używający za to wielorakich przywilejów przetworzyli się powoli w osobną klasę społeczną — stojącą ponad ludem. Oni przetworzyli archaiczny komunizm plemion atyckich w jednolite państwo — skierowane ku celom obronnym, a później nieco handlowym, nie mniej jednak zepchnęli dawnych współrodowców na stanowisko wolnych

chłopów, jakich zna także początek średniowiecza. Pod wpływem rozwijącego się handlu — nie mogły gminy tych chłopów, zwane »demos« obronić resztek organizacji komunalnej, a jako indywidualni właściciele gruntów — popadli chłopi atyccy w nędzę ekonomiczną, z której ratował ich chwilowo lichwiarski worek eupatrydów. Ci ostatni postarali się wreszcie o prawo, na mocy którego dłużnik nie mogący uiścić się z długu — stawał się niewolnikiem swego wierzyciela. Prawo to, które znajdujemy także w prawodawstwie rzymskiem — stało się dla eupatrydów atyckich prawdziwą kopalnią niewolników, podobnie, jak było nią dla rzymskich patrycjuszów; że jednak w ten sposób wolni obywatele widzieli się wszyscy zagrożeni utratą wolności — to też demos atycki — zupełnie tak samo, jak równocześnie plebs rzymski rozpoczął walkę ekonomiczno prawną z eupatrydami. Nawiasowo wspominam, że ścisła analogja w tym względzie między Atenami i Rzymem wskazują, że w Rzymie także było pierwotne niewolnictwo wynikiem konieczności obrony granic. Przed kim? — nie wiemy napewne, ale sądzę, że przed Etruskami.

W Atenach i w Rzymie warstwy ludowe oparły się uroszczeniom rycerzy; tu i tam wolni obywatele zostali prawnie zrównani i ustawowo zabezpieczeni przed popadnięciem w niewolę — skutkiem nędzy ekonomicznej. Etapy tej walki społecznej nazywamy w Atenach rozwojem demokracji, w Rzymie zaś walką plebejuszów z patrycjuszami i rozwojem republiki.

W Atenach: Solon, Kleistenes; w Rzymie: Valerius Publicola, decemwirat i lex agraria Liciniusa, są to ogólnie znane nazwiska, które samem swem brzmieniem przypominają i określają nam poszczególne okresy rozwoju ekonomiczno-społecznego i prawnego obu republik, najznakomitszych w starożytnym świecie cywilizowanym. Ruch emancypacyjny ludowy — jest bez kwestji podstawową przyczyną rozkwitu Aten i republikańskiego Rzymu, ale był ruch ten bardzo daleki od tego, ażeby podnosić choćby hasła tylko — emancypacji niewolników obcokrajowych, nabytych w wojnie i w handlu. Ateny i Rzym — mimo swej demokratycznej i republikańskiej przeszłości — stały się za czasów cesarstwa rzymskiego największymi rynkami dla handlu ludźmi, a skutki tego odbiły się niekorzystnie na tych warstwach obywatelskich, które ongiś o swą emancypację społeczno-prawną skutecznie walczyły. Oto — jeszcze przed definitywnem rozwinięciem się światowładztwa rzymskiego — wzmogły się poszczególne familje greckie i rzymskie w ogromny dobrobyt ekonomiczny skutkiem pracy niewolniczej, a ci, którzy nie mieli możności pracy tej użyć także na korzyść swoją tj. przeważnie potomkowie chłopów greckich i rzymskich — zostali przez kapitalistów, mimo wszelkich ograniczeń prawnych w nabywaniu ziemi — z gruntów swych wyparci i zeszli na stanowisko społeczne — wolnego proletarjatu wiejskiego i miejskiego, a ponadto jeszcze proletarjat ten nie mógł nigdzie znaleźć pracy dla siebie, bo na latifundjach, w przemyśle i handlu pracował — niewolnik. Niewolnik ten, coraz liczniejszy, zdolniejszy do pracy i wykształceńszy dźwigał — w chwili rozwoju światowładztwa rzymskiego — na sobie nie tylko ciężar pracy fizycznej nad coraz większym rozkwitem starożytnej kultury, ale ponadto przyczynił się najwięcej do skosmopolityzowania ówczesnego cywilizowanego świata. Wojna, nędza i handel ludźmi nie liczyły się z różnicami etnicznemi — niewolnicy rekrutowali się zewsząd i jako barwna mozaika ludów grupowali się w ogniskach ówczesnego rozwoju ekonomicznego. Część ich — wyzwalana z niewoli dochodziła nawet do znacznych majątków i łączyła się związkami krwi z obywatelami. Różnice etniczne zeszły pod wpływem tego kosmopolitycznego żywiołu do minimum; Rzym z łatwością mógł najdalsze prowincje greczyć i latynizować. Niewolnicy pomogli cezarom starej Romy do utrwalenia zaborów rzymskiej republiki, a tem samem przyczynili się bardzo do tego, że wyniki cywilizacyjne starożytności stały się wspólną własnością wielkiej liczby krajów i ludów.

(D. c. n.). *Dr. K. J. G,*

Z ostatniej kulisy.

— Szanowny duchu, trochę litości nad biednym zmęczonym człekiem! Idź do filistrów i ich wyciągaj z miękkich piernatów, mnie pozwól się przespać jeszcze z pół godzinki... Mój duchu najdroższy!

— Nie, musisz wstać. Nie na to Opatrzność dała ci tę odrobinę talentu, abyś ją gnuśniejąc na... Masz materace?

— Mam... ale marne.

— Abyś ją, gnuśniejąc na marnych materacach, marnował, ty, marnotrawny synu Talji! Nie na to Opatrzność dała ci krytyków...

— Nie strasz mnie!

— Boisz się?

— No, nic... ale nie wymawiaj tak szpetnych wyrazów! Krytyków mam już chwała Bogu dosyć. Publiczność... gazety...

— Nie bluźnij i wstawaj! Ja ci to mówię, ja, duch ojca Hamleta! Próba! Próba! Próba!

Zerwałem się z łóżka na równe nogi. Biła godzina ósma.

Przykry sen miałem.

Ano, niema rady, trzeba wstawać. Przeklęta próba! Nie znam nudniejszego zajęcia.

Biegnę do teatru co tchu, aby się nie spóźnić, aliści los szczęsny stawia na moim chodniku znajomego. Zacny człowiek, ale zawsze ma czas.

— A! kochanego pana... Dokądże tak wcześnie?

— Na próbę, panie dobrodzieju!

— Na co?

— Na próbę.

— Pan jeszcze próbuje? Pan i bez próby potrafi! Ot lepiej wstąpmy na filiżankę czarnej.

— Jak pana szanuję, nie mogę. Spóźnię się. Do zobaczenia!

— Do widzenia się!... szkoda, bobyśmy pogadali... A może kochany pan jutro o tej samej...

— — — — — — — — — — —

Nie dosłyszałem już ostatnich słów, podwoiłem bowiem kroku, aby wynagrodzić czas stracony. Bagatela! Nie tak to łatwo przebiedz parę ulic, żeby nie natknąć na znajomych, którzy mają ochotę do gawędy, lub jakiś interes, nie cierpiący zwłoki.

I teraz oto wpadam na damę, idącą razem z córeczką. Mijam je tak grzecznie, że się sam dziwię własnej galanterji, lecz wstrzymują mnie jeszcze grzeczniejsze:

— Stokrotnie pana przepraszam, że tu na ulicy...

— Służę pani.

— Czy Battistini długo tu zostaje?

— Daruje pani, ale doprawdy nie wiem.

— Pragnęłam koniecznie, ale to koniecznie, być na jego benefisie, już jeżeli nie dla siebie, to dla Zosieczki, która formalnie jest nim rozentuzjazmowana. Bo też rzeczywiście fenomenalnie przystojny człowiek, a przytem śpiewa... Zosieczko, poproś pana, bo ja nie mam odwagi!

— Hi! hi! hi! Kiedy nie mogę, bo się śmieję.

— Z czego, łaskawa pani!

— Z pana, hi! hi! hi!

— Zosiu! *laissez donc!* Ona pana widziała parę razy, przepraszam, w śmiesznych rolach, a że się wszystkiem przejmuje, więc na sam widok... O! to nawskroś artystyczna duszyczka.

— Tak, to zaraz widać. Panie darują... mnie się bardzo śpieszy.

— Otóż, możeby pan był łaskaw, mając tam stosunki, kupić nam bileciki. My niedaleko mieszkamy, zaraz dam adres i pieniądze...

— Szanowna pani sama każdej chwili dostanie w kasie zamówień. Moje uszanowanie!

Jako epilog rozmowy usłyszałem za sobą: »Gdyby miał prawdziwy talent, byłby grzeczniejszy, Battistini zarazby...«

— — — — — — — — — — —

Wpadam na scenę zdyszany i spocony. Dzięki Ci, Panie, na czas przybyłem. Dopiero schodzą się wszyscy.

Koledzy zaspani, koleżanki spazmatycznie ziewające, sufler cierpiący na reumatyzm, reżyser zły, nawet lampki elektryczne migają. Ogólna zgryzliwość, humoru ani krzty!

Słychać tylko rzucane przez zęby:

— ...eń dobry...

— ...anowanie...

— Pogoda! co?

— Jestem cały jak galareta, psie nerwy!

— Umiesz kolega rolę?

— O! wolałbyś się raczej kundlem narodzić, niż gniew mój drażnić!

W tej chwili rozlega się głos reżysera:

— Proszę państwa, zaczynamy. Pierwszy akt!

— Proszę pana reżysera, — odzywa się inspicjent — nie można zacząć.

— Dlaczego?

— Pana Tkackiego niema.

— Oderwać go od krzyża, jeżeli się modli!

— Jest! jest! przyszedł.

— Czekać na tych, którzy się spóźniają, jest to ubliżać tym, którzy już przybyli, panie Tkacki!

— Przepraszam najmocniej, ale nie mogłem przejść na drugą stronę ulicy, gdyż środkiem wojsko przechodziło. Musiałem długo czekać.

— Wyszukaj pan, proszę, coś nowego, bo to wojsko już było kilka razy. Zaczynamy! Osoby: Agata i Karol wchodzą z prawej, śmiejąc się...

Próba rozpoczęta.

Na tle wypowiadanego djalogu i informacji reżysera na scenie, rozpoczyna się pogawędka za dekoracją. Na rzędem ustawionych krzesłach zasiedli artyści, oczekujący swojego »wejścia«. Nowinki, wypadki dnia poprzedniego, dowcipy zaczynają kursować w najlepsze, humory się poprawiają.

Rozmowa chwilami staje się nieco za głośną i góruje nad djalogiem, prowadzonym na scenie. Wtedy reżyser uderza energicznie w pulpit i zapytuje grzecznie:

— Czy my tu państwu nie przeszkadzamy?

Przez chwilę robi się bardzo cicho.

Akt się skończył. Panowie udają się do uprzywilejowanej garderoby na papierosa. Tu wszczyna się dopiero gwar. Panie popijają w kącikach herbatę lub konferują z kostjumerką o toaletach.

Sprzeczki, pytania i odpowiedzi, dyskusja na temat próbowanej sztuki, słowem: punkt kulminacyjny tego, co się nazywa antraktem na próbie.

— Co pan powiesz o sztuce?

— Bardzo mi się podoba, zwłaszcza trzeci akt jest znakomity.

— A panu?

— Wyborna sztuka. Co za role wspaniałe!

— No to nie będzie miała powodzenia, bo i mnie się podoba.

Ktoś usiłuje opowiedzieć dykteryjkę, nawet dość dowcipną, ale niechętnie go słuchają. Tu trzeba mieć wielki kredyt, aby być słuchanym

i mieć prawdziwie coś dowcipnego do opowiadania. Tu, na tym punkcie, ludzie są zblazowani. Lepiej nie zaczynać, bo jeśli rzecz im się nie spodoba, wymykają się powoli, zostawiając opowiadającemu »dużo powietrza, aby się nie zatknął«. »Niech się wichrom skarży!« powiadają.

Myliłby się jednak bardzo, ktoby sądził, że próba jest wakacjami aktorskiego dnia.

Po pierwszym, a nawet jeszcze po drugim akcie próbowanej sztuki, są i humory i zasób energji do pracy. Od drugiej połowy sztuki występuje pewne znużenie, widoczne nawet na twarzach grających. I nic dziwnego. Próba jest pracą rzemieślniczą, artyści nie mają podniety, którą stanowi publiczność, muszą się niejako naginać do danych charakterów, aby w sobie wyrobić to, co dają publiczności wieczorem. Na próbie chwilami tylko, kiedy sytuacja uniesie grających, wchodzą w grę nerwy. Ustawiczne poprawki, zmiany sytuacji, przerywanie toku akcji, powtarzania kilkakrotnie tych samych ustępów, męczą nad wyraz. To też próba, nawet t. zw. generalna, nie daje nigdy pojęcia o tem. co będzie wieczorem.

Po skończonej próbie część artystów wybiega jak najśpieszniej do domu, część do cukierni na krótki odpoczynek i czarną kawę, którą się ten narodek o każdej porze i bez miary opija.

Stąd wychodzą na świat »ustalone« opinje, o artystach zwłaszcza. Grono sług Melpomeny zajmuje pewien uprzywilejowany kąt.

— Proszę kawy, gorącej jak piekło, czarnej jak moja przyszłość! — woła jeden.

Rozpoczyna się rozmowa i czytanie gazet, przegląd pism ilustrowanych.

Jakiś jegomość, nie należący do artystycznego grona, zasiada obok z gazetą. Trudno, każdemu wolno usiąść, gdzie mu się podoba. Jegomość z poza gazety bierze milczący udział w rozmowie artystów. Naprzód śmieje się cicho, potem nieco głośniej, po chwili wtrąca swoje słówko, po kwadransie jest już dobrym znajomym i sąsiadowi z prawej strony zadaje mniej więcej takie pytanie.

— Przepraszam, jaką też pan gażę pobiera?

Inny jegomość prosił na wszystko artysty Iksa, aby się z nim napił ponczu rzymskiego. Iks nie znosi ponczu, przeprosił więc obrażonego amfitrjona i nie pił.

Z cukierni wyłania się opinja która nawet po mieście kursuje: Iks jest człowiek ordynarny, bez wychowania, zarozumiały, ale co chcecie? Nie miał nigdy rodziców, znaleźli go podobno w lesie, już gotowego. I na odwrót: Widziano artystę Zet z »Wielką Encyklopedją« pod pachą. Chował tam swoje teatralne wąsy, które w grubej księdze między kartami, znakomicie się układają.

Opinja »ustalona« powiada: Ten Zet jest grubo wykształcony i porządny człowiek!

Dopóki to jednak nikomu szkody nie przynosi, cukiernia jest niezbędnym etapem przed i po pracy.

Około trzeciej — jak wymiótł.

Ludzi wszelkich stanów i zajęć można zastać, prócz aktorów.

O szóstej wszyscy się tam znajdą, śpiesząc do »garderoby«.

W »garderobach« ruch.

W jednej słychać głośne przepowiadanie roli, w drugiej rozmowę na temat kwestji ormiańskiej, w trzeciej nadawanie wcale nie dwuznacznych przydomków fryzjerowi. Na korytarzu dwaj koledzy, wielbiciele wszelakich sportów, prowadzą namiętną sprzeczkę: czy *finta* w głowę, a *riposta* w bok może być zrobiona bez *wypadu*, czy też koniecznie trzeba *wypadać?* — na co kolega, uznający jedynie ciosy moralne i nie cierpiący z zasady brutalnych szamotań się, woła:

— Żebyście oniemieli z waszemi *fintami!* We łbie huczy, charakteryzować się nie mogę!

— *In corpore sano...*

— *Sano, sano,* ładne pan jesteś *sano!* Jak nie włoży rękawiczek, już kataru dostaje.

Kolega z pod Nr. 18 ego, oponent z zasady, odrzuca energicznie twierdzenie, jakoby odcięcie całkowite głowy sprowadzało śmierć.

Rozlega się pierwsze dzwonienie: za kwadrans widowisko się rozpocznie.

— Panie krawiec, proszę do mnie. Zjadłeś pan kopę... surdutów, gdzie się pan włóczysz?

— Fryzjer do mnie!

— Zaraz, proszę pana, brodę lepię, nie mogę odejść.

— Dla mnie blond faworyty!

— Szewczyk! moje lakierki wyczyścić z kurzu. Nie tak, ty apokaliptyczna bestjo! Ja w tych lakierach książąt grywam, a on mi je chce szuwaksem smarować! Ty wiecznie szewcem zostaniesz!

— Ja się też na *ardyżde* nie uczę, proszę pana.

Gorączka ogarnia wszystkich, bo oto drugie dzwonienie.

Orkiestra gra mazura. Czyjegoż to?... tram ta... ram tam, tam, tam, tam... aha! Lewandowski!

— W górę! — komenderuje inspicjent.

Akt rozpoczęty.

Artyści, czekający na swoje »słowa«, chodzą niespokojnie za kulisami, chrząkając i próbując głosu.

Artystki układają fałdy sukien, maltretując swoje garderobiane, ofiary nerwowych zaburzeń swoich pań.

Królestwo nerwów wre życiem w całej pełni!

Akt skończony. Oklaski.

Artystki układają buzie do wdzięcznego uśmiechu. Dziękują pięknym o ile możności, na froncie sceny złożonym ukłonem. Spadają drobne bukieciki, które się do serca przyciska. Mało-

letnie »bravo« wzmaga się. Orkiestra gra mazura, no, tego... tam... tam... tam... tam.. tam... tam... aha!

Wchodzi autor granej właśnie sztuki, wita się i zapytuje jak najzwyklejszy śmiertelnik:

— Co słychać?

— Dobrze. W teatrze pełno.

— To mi wszystko jedno.

Naturalnie nikt w to nie wierzy, ale sympatycznemu autorowi robi się przyjemność, udając głęboką wiarę w tę obojętność dla własnego dzieła.

Dekoracje zmieniono Akcja toczy się dalej.

Woźny, stojący przy dzwonkach elektrycznych, sygnalizujących podniesienia lub opuszczenie zasłony, zwierza się maszyniście:

— Wolałbym *stoić* przy paltach, niż przy tych guzikach. Ciągiem uważaj; człowiekby popatrzył na te figle, a odejść nie można, bo do kary zapiszą. Psia służba!

W korytarzu flirt. Strażak na swym posterunku nie nudzi się. Naprzeciwko damska garderoba. We drzwiach gadatliwa i przystojna garderobiana.

— Wie pan Jędrzej, że jak *matkie* kocham, już mi się życie przykrzy z *temy sztukamy*. Dziś przebierałam panią sześć razy.

— Jak panna Karolina będzie na swojem, to się sama będzie przebierać.

— E! ktoby mnie tam chciał!

— Głupich nigdy nie brak!

— Z pana Jędrzeja *tyż* polityczny człowiek!

— Niech się panna Karolina nie gniewa, bo jabym sam taki głupi był!

Zajmującą tę rozmowę przerywa ruch gwałtowny i wykrzykniki:

— Chwała Bogu, skończyło się!

— Dobranoc!

— Dobranoc.

— Gdzie krawiec?... rozbierać mnie!

Godzina jedenasta. Światła gasną. Widownię i scenę zalega ciemność Po gorączkowym ruchu nastaje bezwzględna cisza; jeszcze tylko słychać brzęk kluczów w rękach woźnego, zamykającego garderoby.

Zywot aktora krótszy o jedno przedstawienie.

Mieczysław Frenkiel.

Urywek z dziennika.

[Ciąg dalszy].

Ale znów owo przeciw bogom cudzym? Ojcowie nasi nie przynosili ofiar żadnej Izydzie ani Apisowi i byli zupełnie zaspokojeni w swem sumieniu. My zaś uparcie widzimy wszędzie te bogi cudze. Jeśli kto całkiem utonął w szczęściu dla własnego gniazda, jeśli kogoś zaślepia myśl jakiejś samolubnej ambicji, jeśli widzimy, jak ktoś uparcie, mimo wszystko, drapie się coraz wyżej po drabinie karjery, nie wahając się nawet wchodzić w kompromisy z własnemi przekonaniami, z własną wiarą, to mówimy wówczas, że kłania się nie prawowitemu bóstwu, że sprzeniewierzył się starym bogom swego naiwnego, czystego, nawskróś przesiąkniętego prawdą dzieciństwa. I wszystkie z owych przykazań podobnie dziś traktujemy.

I powiedz, proszę, po co nas to wszystko tak żywo porusza? Po co te wszystkie dysonanse, i swoje i nie swoje, tak nas torturują, że wprost niemożebnem czynią istnienie? Wyobrażasz sobie, że głową o jakiś mur wciąż się rozbijasz, i mimowoli wołasz: dalej nie sposób! jedno z dwojga: zgiń, ja, lub zgiń ty, murze!

Ale ty mnie nie słuchasz?

Istotnie, oczy Olka z jakąś upartą myślą wewnątrz, patrzyły na witryny sklepów, nic w nich nie widząc. Moje pytanie zbudziło go jednak.

— Cóż znowu? Jak możesz posądzać? Wiesz przecie, że gdy się ze wsi wyrwę, to mi przyjemnie pogawędzić z ludźmi na ogół, a z tobą w szczególności.

Co mnie najbardziej pociąga w jego wiejskiej duszy, to wszelki brak owego fałszywego wstydu, z jakim my, światowcy, staramy się ukrywać nasze najpoczciwsze uczucia. Olek, wiem że mnie lubi i nie stara się temu zaprzeczyć.

Zajęty swemi myślami ciągnąłem dalej:

— Czy pochodzi to stąd, że mamy bardziej analitycznie wyćwiczony umysł? Że nie przystajemy już na te z gruba ociosane prawdy dawnych wieków, a zapuszczamy się w subtelności, które dają nam silniejsze na stosunki oświetlenie? Wpajane w nas w dzieciństwie zasady altruistyczne bierzemy literalnie, a nawet ze wszelkiemi dalszemi z nich wywodami — bierzemy je poważnie, co więcej, nasiąkamy niemi. Zycie zaś po dawnemu wspiera się na stosunkach z czasów dziesięciorga przykazań, i drwi z nas sobie, i nie chce ani znać, ani słyszeć, że my, dzisiejsi, nic a nic w niem do roboty mieć nie możemy. Głoszą nam potrzebę nowej etyki, zapowiadają przyjście nowej religji — lecz, proszę cię, czy nie właściwiej zastosować życie do prawd starych, jedynie traktowanych we właściwem świetle, w świetle naszych pojęć dzisiejszych?

Olek zatrzymał się i zafrasowany popatrzał na zegarek.

— Śpieszysz dokądś? Zatrzymuję cię? — spytałem.

— Ej nie! — odrzekł jakoś niepewnie, a po chwili dorzucił — Wszakże tak! Muszę wstąpić jeszcze w jedno miejsce...

— To czemuż mi nie mówisz? No, leć! do widzenia!

Wyciągnąłem doń rękę, ale Olek stał niezdecydowany i onieśmielony.

— Widzisz — zaczął, patrząc w stronę — ot tak się stało... — I nagle zwrócił na mnie proszące oczy. — Pożycz mi jeszcze ze sześćdziesiąt rubli... Djabelnie potrzebuję.

— Słuchaj, chłopcze, — powiedziałem, jak można najserdeczniej — gdzie ty jednakże podziewasz taką masę pieniędzy?

Olek szarpnął się zaczerwieniony.

— Badanie? Czy powinienem sprawę zdawać?

— Ależ bynajmniej! Czyż jednak gniewać się będziesz za to, że stary twój przyjaciel zatroszczy się o ciebie? Nie od dziś widzę, że z tobą jest jakoś kiepsko.

Ale Olek nie dał mi dokończyć.

— Mój drogi, jeśli nie chcesz dawać, to nie dawaj. Co tu długo gadać!

Twarz jego znów nabiegła krwią, zagryzł usta. Natomiast z piersi jego wyszedł głuchy, charkoczący z wielkiego podniecenia szept:

— Mam się spowiadać? Czy mało ci jeszcze, że znoszę cierpliwie twoje kazania, które tyle mnie obchodzą, co śnieg przeszłoroczny?

Teraz ja z kolej musiałem użyć wielkiego wysiłku, aby stłumić w sobie okrzyk wyrzutu, jaki rwał mi się na usta.

— Nie powiesz? — rzekłem, czując, że głos mię zdradza. — Mnie nie powiesz, któregoś tak niedawno nazywał bratem? — Mówiłem to nie tyle, aby zmusić go do wyznania, ile aby dowiedzieć się, co więcej jeszcze kryje się dla mnie w jego piersi.

Nie potrzebowałem czekać.

— Nazywałem, to i cóż? — wybuchła jego myśl. — Z tą nazwą otwierały mi się wszystkie drzwi, które chciałem, aby się otwarły; z tą nazwą w twoim domu byłem, jak we własnym, i w twojej kieszeni, jak we własnej. Za to znosiłem twoje perory i nieraz dla twojego widzimisię urywałem sobie najprzyjemniejszej zabawy; który to brat zrobi dla brata, chciałbym wiedzieć?..

Na szczęście miałem przy sobie jakąś sumę, pośpieszyłem co prędzej mu ją wręczyć.

— Resztę przyślę ci wieczorem — powiedziałem, starając się nań nie patrzeć.

Rzucił się mi dziękować, rozpromieniony nagle i wzruszony.

Cofnąłem się.

— Proszę cię, nie trzeba! Nie idź za mną! Zostaw mię! Chcę być sam.

Z temi słowami porzuciłem go nagle skręcając za róg ulicy.

Musiał patrzeć na mnie wielkiemi oczyma. Ja sam sobie zaczynałem niedowierzać. Co to ze mną się dzieje? Jakimże to straszliwym podlegam halucynacjom! Ależ gdzie tam! To nie są wizje! Ja słyszę wyraźnie, niewątpliwie słyszę ich myśli... Ach Olek, Olek! W gruncie nie jest to może rzecz tak wielka — ale pocóż stara się wydać innym, niż jest w istocie? Ten poczciwy, otwarty chłopak, ta dusza taka świeża i naiwna... Teraz tylko czuję, jak bardzo go lubiłem, jak prawdziwego, blizkiego memu sercu, młodszego brata. Fałszować, łasić się o moje pieniądze... Brrr! Mogłeś sobie brać jeszcze tyle, ale pocóż mię okłamywać? Nędzna, maluczka duszyczko, coś pełzającego strasznie przy ziemi... Teraz pewno za mojemi oczyma, za moje pieniądze, brnie po uszy w rozpuście. A na każdy żart lżejszy czerwienił się, jak dziewczyna! Teraz wierzę, iż to, o czem napomykał Karol, jest prawdą. A takem się nań gniewał wtedy..

Myśli w tak dziwnym chaosie szarpały mój mózg, że prawie mię bolały. I kogo ja tu więcej żałuję, człowieka, czy przyjaciela! Ach, i jednego i drugiego. Zapewne — jednego i drugiego! I gdy tak zestawią się te dwa pojęcia... te dwa pojęcia w jednej żałobie, w jednej trumnie...

Szedłem coraz prędzej z niejasnem jednak poczuciem, że sam od siebie uciec nie potrafię. Gorycz i żal przepełniły mię. Poczucie jakiejś nieokreślonej a dojmującej krzywdy gnębiło mię coraz bardziej, wyzywając chwilami porywy wstrętu i oburzenia. A poza tem wszystkiem czułem się bez granic zmęczonym. Pół życia oddałbym za chwilę absolutnego spokoju — bez myśli, bez wrażeń, bez rozczarowań...

Nie pamiętam jak długo i jakiemi szedłem ulicami, gdy nagle na placu wyrosła przedemną fasada świątyni. Doleciał mię głos organów. Postąpiłem jeszcze parę kroków i znalazłem się przed otwartemi drzwiami kościoła. Ze słonecznego światła głąb wydawała się półmroczną. Zdaleka ołtarz jaśniał girlandami świateł, zanurzony niemal w ogromnem mnóstwie kwiatów świeżych i zieleni. Tłum wypełniał świątynię; ponad nim organ poważnemi akordami brzmiał w wielkiej ciszy. Pociągnęło mię nieprzeparcie pod to łukowate sklepienie. Chłód, cisza, powaga majestatu pełna. Nie jestem wierzący i kościół rzadko kiedy zobaczy mię w swych murach. Gdy wchodzę jednak, ze szczerą kornością odkrywam głowę. Ten przybytek zbiorowych próśb, gromadnego bólu, to miejsce, gdzie myśl ludzka wyżej po nad ziemskie padoły w rzewny kraj pięknych porywów ulata, przejmuje mię zawsze, jak każda abstrakcja wzniosła, czcią i szacunkiem. Dziś łączyła się do tych uczuć potrzeba ukołysania wzburzonych myśli tą ciszą i tą podniosłością swą.

C. d. n. *W. Dalecka.*

Z niw słowiańskich.

Antologja słowiańska po niemiecku. Wpływ poetów polskich na pierwociny poezji nowoczeskiej.

Niezbyt dawno ukazała się w Sztudgarcie spora książeczka (blisko 300 str. druku), zawierająca wybór utworów poetów słowiańskich

w przekładzie niemieckim. Książeczka ta, zaopatrzona w elegancką szatę zewnętrzną, a wydana przez znaną firmę księgarską Cotty, nosi napis: »Slavische Antologie«. Pomysł zaznajomienia publiczności niemieckiej z płodami muzy słowiańskiej jest bardzo szczęśliwy. Nie można, niestety, powiedzieć tego o wykonaniu pomysłu. To ostatnie bardzo dużo pozostawia do życzenia.

Przedewszystkiem razi nas to, że w zbiorku reprezentowane są tylko cztery narodowości słowiańskie: czeska, polska, rosyjska i »południowo-słowiańska«. Ta ostatnia, co prawda, rozpada się na serbsko-chorwacką i słoweńską, więc mamy w zbiorku poezje wszystkich narodowości słowiańskich oprócz Bułgarów, Rusinów, Słowaków i Łużyczan. Dlaczego poezję tych plemion pominięto, nie wiemy, ale możemy się domyślać po części. Cała bieda w tem, że Niemiec-wydawca powołał do pracy nie Niemca, któryby się sumiennie ze swego zadania wywiązał, ale... Słowianina — p. Kreka. Ten ostatni, ma się rozumieć, zapatruje się i na poezję słowiańską ze stanowiska »słowianofilskiego« sui generis, więc solą w oku są mu różne »separatyzmy«, jak ma łoruski lub słowacki. Oprócz tego trzeba wiedzieć, że p. Krek jest Słoweńcem, wskutek czego przedstawiciele poezji słoweńskiej zajmują w »Antologji tyleż prawie miejsca, co poeci czescy, a daleko więcej, niż poeci serbo-chorwaccy. P. Krek najzupełniej ignoruje poezję małoruską, która w osobach takich przedstawicieli swoich, jak: Szewczenko, Kulisz, Hlibow, Rudański, Franko, Czajczenko nietylko przewyższa ubogą poezję słoweńską, ale może śmiało się mierzyć i z serbsko-chorwacką. Do pewnego stopnia da się to samo powiedzieć i o poezji słowackiej. Wszak utwory Botta, Sladkowskiego, a przedewszystkiem Chalupki mogłyby zająć miejsce poczesne w bogatszych nawet literaturach. Że nie spotykamy się z żadnym utworem łużyckim, mniejsza z tem, ale Bułgar, Iwan Wazow, wart co najmniej tyleż, ile każdy, (oprócz Preszerna może) z uwzględnionych poetów słoweńskich.

Czytelnika polskiego przedewszystkiem może interesować, jak prezentuje się poezja polska w zbiorku p. Kreka. Dział polski zajmuje 48 str. t. j. o dziesięć str. mniej, niż rosyjski. Jeszcze gorzej wypadnie ten stosunek, jeśli porównamy liczbę poetów polskich, uwzględnionych w zbiorku, z liczbę poetów rosyjskich Wówczas kiedy ostatnich jest aż 32 — to pierwszych tylko 16, czyli dwa razy mniej. Jest to krzycząca niesprawiedliwość, ponieważ literatura polska w poezji stanowczo rosyjską przewyższa. P. Krek postarał się o tłumaczenia utworów 3-rzędnych wierszokletów rosyjskich (jak Fofanów, wielki książe Konstanty, Frug), a w dziele polskim pominął A. Malczewskiego, W. Pola, E. Wasilewskiego, M. Romanowskiego, ze starszych Klonowicza, Morsztyna, Krasickiego, Węgierskiego, Trembeckiego, Karpińskiego, nie mówiąc już o całem młodem pokoleniu poetów polskich, z pomiędzy których nie spotykamy się z żadnym. Poezja polska kończy się na Asnyku i Konopnickiej.

I to, co p. Krek z poezji polskiej uwzględnić raczył, nic, albo prawie nic, czytelnikowi niemieckiemu nie daje Jakie np. pojęcie może sobie wyrobić Niemiec o Słowackim, przeczytawszy krótki wyjątek z »Jana Bieleckiego«?

Przyjrzyjmy się teraz działowi rosyjskiemu, który widocznie najbardziej p. Krekowi leżał na sercu. I tu jednak narażeni jesteśmy na zawód. Poezje, wybrane przez p. Kreka, wcale do najbardziej charakterystycznych nie należą. Nie widzimy następnie ani poezji Rylejewa, ani utworów Ogarewa. Natomiast w dziwny jakiś sposób na jednego z najwybitniejszych poetów rosyjskich pasowany został wielki książę Konstanty, którego utwory *de facto* mają o mało większą wartość niż wszystkie wybryki artystyczne autokraty z nad Sprewy. W zbiorku p. Kreka w. k. Konstanty zajmuje daleko więcej miejsca, niż Niekrasow, Kryłow, Żukowskij, Kolcow, Majkow, Hr. Tołstoj lub Nikitin. Co do ilości poezji w. k. Konstantego, to jest ich tyleż samo, co utworów Lermontowa i o jedną mniej, niż Puszkina. (Dok nast.).

Przegląd pism.

»Biblioteka Warszawska« — Styczeń. 1896.

Bardzo piękną pracą młodego historyka S. Askenazego o zmarłym w roku zeszłym niemieckim dziejopisie Sybla rozpoczęła »Biblioteka« 56-ty rok swego istnienia. Rozprawa p. Askenazego, nie będąca zarysem biograficznym a tylko charakterystyką i krytyczną oceną Sybla, zasługuje ze wszech miar na uwagę. Sybel był to *par excellence* historyk pruski. Przy pisaniu historji Prus nieraz musiał zawadzić i o dzieje nasze. Nie wahał się ani na chwilę, gdy mu to dla względów politycznych potrzeba było nas oczernić. Ale fałsze te niepospolitych zdolności historyk tak potrafił przybrać w pozory prawdy naukowej, że i nasi »wielcy« historycy, jak np. Kalinka, naślepo mu wierzyli. Świetna jest odprawa, którą Syblowi daje p. Askenazy, a każdy, kto jego artykuł przeczyta, zgodzi się niewątpliwie z autorem, że Sybel był tylko »małym historykiem Prus, jednego pruskiego stronnictwa. Jego dziejopisarska spuścizna, obszerna, obfita, różnorodna, jest bez istotnej wartości i pożytku i nieinaczej, jak sól zwietrzała, będzie wyrzucona i podeptana od ludzi«.

Dr. H. Biegeleisen, przygotowujący, na wzór wydanych przez się dzieł Mickiewicza i Słowackiego, zbiorowe wydanie pism Krasińskiego, daje cząstkę swych studjów nad tym ostatnim pisarzem w artykule p. t. »Komedja nieboska w świetle spółczesnej krytyki«, zaczynając od najwcześniejszych sądów o »Nieboskiej« — Hofmanowej (1835); zatrzymując się przed znanem dziełem St. Tarnowskiego — dziełem, które p. Biegeleisen tymczasem nazwał »wiekopomnem«, chociaż, jak spodziewać się wolno, nie poprzestanie na tym ogólnikowym zachwycie i da nam w dalszym ciągu swej pracy krytyczną ocenę tej niewątpliwie tendencyjnej pracy hrabiego-profesora.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.